

Zakaz zakazywania

18 sierpnia 2014

Data publikacji: 27.12.2009

Rację miał Marks, że historia powtarza się, lecz tragedię zastępuje farsa. Sam padł tejże farsy ofiarą.

Kiedys było palenie książek, później urząd z ulicy Mysiej. Obecnie natomiast, jak doszły mnie niezbyt konkretne słuchy – podróżowałem akurat po kraju – jakiś facet na targach książki straszył prokuratorem wydawnictwo, które wznowiło „Manifest komunistyczny”. Wiadomo, propagowanie ustroju totalitarnego podpada w Polsce pod paragraf. Wszak po to walczono z PRL-owską cenzurą i wyśmiewano tępotę jej funkcjonariuszy, żeby teraz ścigać za edycję Marksa. Jak zwykle przy tego rodzaju okazjach odbywa się rytualna kłótnia prawicy i lewicy o to, czego należy zakazywać.

W moim odczuciu zakazywanie edycji „Manifestu komunistycznego” jest całkowitą bzdurą. Przede wszystkim dlatego, że oskarżanie Marksa o odpowiedzialność za zbrodnie komunizmu, w dodatku w wydaniu PRL-owskim, ma taki sam sens, jak oskarżanie Darwina, Nietzschego i Heleny Bławatskiej o odpowiedzialność za krematoria III Rzeszy. Tego rodzaju wnioskowanie – że za gułagi i czystki odpowiedzialny jest ktoś, kto 50 czy 100 lat wcześniej napisał jakąś książkę czy próbował stworzyć ruch polityczny – to absurd socjologiczny. Natomiast cała sprawa ma kilka ciekawych aspektów, którym warto się przyjrzeć.

Przede wszystkim pamiętam, że lewicowi obrońcy wolności słowa – tj. swobody publikowania „Manifestu komunistycznego” – niejednokrotnie domagali się jej odebrania swoim przeciwnikom, czyli wszelkiej maści „faszystom”. Przy czym ów „zakaz propagowania” miał obejmować nie tylko publikację „Mein Kampf” i temu podobnych, stricte hitlerowskich wywodów, co od biedy mógłbym zrozumieć. Antyfaszystowskie płaczki załamywały w

„Gazecie Wyborczej” ręce nad polskimi edycjami książek Carla Schmitta czy Ernsta Jüngera. Do prokuratury z tym co prawda nie biegały – zapewne nie wierząc, że zatrudnia ona kogoś tak bezmyślnego, aby choć spróbował wydać zakaz podobnych publikacji – co nie zmienia faktu, że w ciągu 20 lat wolnej Polski wyprodukowały kilkaset, a może i kilka tysięcy „apeli”, czyli donosów na treści „niesłuszne” i potencjalnie zbrodnicze. Kto pod kim dołki kopie, sam w nie wpada.

Niestety, sposoby obrony prawa do wznowienia „Manifestu komunistycznego” są zazwyczaj kiepskie. Tak jak nie lubię USA, tak cenię formalno-prawny zdrowy rozsądek amerykański, który blokuje ograniczanie wolności słowa pod urojonymi i naciąganyymi pretekstami. W efekcie, w Stanach Zjednoczonych można publikować wszystko, czego dusza zapragnie. Ale jakoś – cóż za dziwny traf! – edycja dzieł Stalina nie zaowocowała gułagami nad Potomakiem, a rozpowszechnianie broszurek z „kłamstwem oświęcimskim” nie sprawiło, że po Chicago i Detroit przechadzają się faceci w czapkach z trupimi główkami, wyłapujący Żydów. I to w zupełności wystarczy na odparcie „argumentów”, że dziś ktoś przeczyta to czy tamto, a jutro nowe Gestapo lub NKWD przyjdzie, zamknie, rozstrzela i zakopie w lesie. Amerykanie, mimo przypisywanego im – delikatnie mówiąc – niewielkiego rozgarnięcia, są w tej kwestii zdecydowanie mądrzejsi od europejskich historyków i wiedzą, że faszyzm czy komunizm nie wzięły się z czytania książek, lecz ze splotu wielu czynników politycznych, społecznych, gospodarczych i kulturowych, których pogrobowcy obu idei nie są w stanie odtworzyć w realiach zgoła odmiennych.

Lewicowi obrońcy wolnego słowa argumentują jednak nie „po amerykańsku”. Przekonują na przykład, że myśl Marksa a realny socjalizm/komunizm to dwie zupełnie różne sprawy, gdyż autor „Kapitału” daleki był od wszelkich ciągot totalitarnych. Akurat to nie jest prawdą. Na niebezpieczne aspekty myśli marksowskiej wskazywali – na długo przed tym, nim jakakolwiek forma socjalizmu stała się realną – tacy zadeklarowani, a przy

tym dalekowzroczni lewicowcy, jak Michał Bakunin i Edward Abramowski. Przewidzieli, że wprowadzanie w życie koncepcji dyktatury proletariatu, scentralizowanej władzy porewolucyjnej, nacjonalizacji środków produkcji – w nieunikniony sposób doprowadzi do zamordyzmu. Abramowski w „Socjalizmie a państwie” wyprorokował już w roku 1904, że socjalizm „odgórny”, oparty na przymusie, okaże się tyranią – czytając tę książkę, trudno uwierzyć, że powstała przed narodzinami ZSRR. Nie zmienia to oczywiście faktu, że stawianie znaku równości między rozprawą polityczno-filozoficzną, czy nawet działalnością partyjną z drugiej połowy XIX wieku, a zbrodniami popełnionymi o kilka tysięcy kilometrów dalej 30 czy 60 lat później, jest pozbawione sensu.

Zwolennicy wznawiania dzieł Marksa powołują się też na przykład innych krajów – tam „Manifest komunistyczny” jest co i rusz publikowany, czytają go studenci i intelektualiści itp., nikomu zaś nie przyjdzie do głowy zakazywać czegokolwiek z dorobku tego myśliciela. To oczywiście zarówno prawda, jak i postępowanie ze wszech miar rozsądne. Skoro nikt w krajach Zachodu nie domaga się „delegalizacji” dzieł Heideggera, bądź co bądź członka NSDAP, a więc wedle tej „logiki” współodpowiedzialnego za zbrodnie nazizmu znacznie bardziej niż Marks za „dokonania” komunizmu, to nie będzie się też domagał blokady publikacji rozważań autora „18 brumaire’a Ludwika Bonaparte”. Zresztą, czy to się komuś podoba, czy nie, wkład Marksa w nowoczesną myśl polityczną, ekonomiczną i socjologiczną jest tak znaczny, że zakaz edycji jego książek byłby nonsensem z czysto naukowego punktu widzenia. Tyle tylko, że argument „na Zachodzie tak robią” to kij o dwóch końcach – w wielu krajach Zachodu legalne jest wydawanie „Mein Kampf”, a prace autorów, którzy tak oburzają polskich tropicieli faszyzmu – jak Jünger czy Schmitt – ukazują się nierzadko w renomowanych wydawnictwach.

Oczywiście argument „o Zachodzie” pomija kwestię niebłahą – nasz kontekst lokalny. To problem, z którym muszą się zmierzyć

obie strony sporu, lewa i prawa. Polska bowiem miała nieszczęście stać się ofiarą totalitaryzmów brunatnego i czerwonego. W wymiarze moralnym czym innym jest edycja „Mein Kampf” lub wspomnień prohitlerowca Leona Degrelle’a w USA, a czymś zupełnie innym w Polsce, gdzie z rąk sił symbolizowanych przez te postacie zginęło kilka milionów ludzi, a pozostali byli traktowani jak zwierzęta na usługach „rasy panów”. Na tej samej zasadzie ktoś, kto paraduje w koszulce z sierpem i młotem np. w Anglii, może budzić uśmiech politowania, ale w kraju, gdzie UB i NKWD wykonywały „mokrą robotę”, a sowieckie czołgi wjechały akurat wtedy, gdy polski żołnierz zmagał się z napaścią hitlerowców, nie jest to ani trochę śmieszne. Godne zaś nie politowania, lecz spoliczkowania.

Paradoksalnie jednak, właśnie z tego powodu uważam, że w Polsce nie powinno być jakichkolwiek zakazów publikacji o charakterze nazistowskim i komunistycznym. Państwo i instytucje pozarządowe powinni dbać o to, żeby obywatele mieli wiele możliwości zapoznania się z wiedzą na temat skutków obu totalitaryzmów. Wówczas ktoś parady z „Mein Kampf” pod pachą lub w koszulce z sierpem i młotem, będzie podobny do kogoś, kto wytatuowałby sobie na czole napis: „Jestem niebezpiecznym szaleńcem – moi idole zamordowali i torturowali twojego dziadka lub matkę”.

Wszelkie tego rodzaju zakazy są pozbawione sensu także z uwagi na fakt, iż dotyczą kwestii nieostrych, nie dających się precyzyjnie zdefiniować. Faszyzm i komunizm – kiedy ich zakazać? Wbrew prawicowym doktrynerom, sto razy chętniej wybrałbym życie w PRL-u, nawet w czasach stalinizmu, niż w Generalnej Guberni. Wbrew lewicowym doktrynerom, wolałbym żyć we frankistowskiej Hiszpanii niż w ZSRR. Co i kogo konkretnie „zdekomunizować”? Marksa, który zmarł wiele lat przed tym nim powstał jakikolwiek realny komunizm? A może Bolesława Piaseckiego, który w ramach faktycznego systemu komunistycznego wydawał w PAX-ie, za zgodą państwowych cenzorów, m.in. wiele pozycji z klasyki światowej myśli

chrześcijańskiej? Co jest bardziej godne antyfaszystowskiego potępienia – reżim Salazara czy w niczym mu nie ustępujący pod względem brutalności gomułkizm-moczaryzm, który w dodatku w ramach „kampanii antysyjonistycznej” wygnał kilkanaście tysięcy Żydów?

Obie strony sporu są nieuczciwe, nie potrafiąc się uczciwie zmierzyć z czarnymi kartami swojego dziedzictwa. Szczególnie jaskrawo widać to na przykładzie polskich sporów, w których prawica wychwala juntę Pinocheta a potępia juntę Jaruzelskiego, zaś główny nurt lewicy robi odwrotnie. Oba nurty są jednak także krótkowzroczne. Jeśli dziś zakazujemy publikowania takiego czy innego autora, jutro ktoś zakaże nam publikowania innego. Wczorajsi specjaliści od „zwalczania faszyzmu”, dziś lamentują nad „szalejącym antykomunizmem”, który chce zakazywać wznowień Marksa. Dzisiejsi zwolennicy zakazu noszenia koszulek z Guevarą i edycji „Manifestu komunistycznego”, jutro będą lamentować, że „rozwydrzone lewactwo” i „terror politycznej poprawności” chcą im odebrać możliwość czytania Degrelle’a oraz wywieszania na stadionach flag z symbolem miecza-szczerbca.

Podobnych zakazów nie potrzebujemy jednak przede wszystkim z tego względu, że obie skrajności są politycznie bezpłodne w dzisiejszych realiach. Doprawdy, trzeba być bardzo oderwanym od rzeczywistości, aby wyobrażać sobie, że w obecnej konsumpcyjnej kulturze może zaistnieć totalitaryzm w starym stylu, totalitaryzm siermiężnej kontroli i reglamentacji, przasnej cenzury i dyscyplinowania społeczeństwa za pomocą policyjnej pałki. Dziś „pogrobowcy komunizmu” i „neonaziści” służą co najwyżej do odwracania uwagi od poważnych problemów. Najczęściej zaś są albo kołem ratunkowym dla tabloidów w sezonie ogórkowym, albo hobbystyczną subkulturą, swoistą odmianą filatelistyki i wędkarstwa dla ludzi o silniejszych nerwach i większym zapotrzebowaniu na mocne przeżycia, takim hard porno dla onanistów nie erotycznych, lecz politycznych. Wraz z rozwojem Internetu, nawet pod względem technicznym tego

rodzaju „aktywność polityczna” przestaje się różnić od konsumpcji pornografii – przybiera głównie postać pyskówek na forach dyskusyjnych i tworzenia coraz bardziej radykalnych stron WWW, maleje zaś, czy wręcz zanika działalność w „realu”. Faszysta-gawędziarz, komunista-gawędziarz, erotoman-gawędziarz – co za różnica, ani to straszne, ani śmieszne, jedynie żałosne.

90% uczestników obu tych nisz politycznych porzuca zresztą swoje zabawy co najwyżej po skończeniu studiów, a ci nieliczni, którzy nie zostają drobnomieszczanami, w większości tłumaczą się później z „błędów młodości” i odcinają od nich tym bardziej zapalczywie, im bardziej może to zaszkodzić w dorosłym życiu i tzw. karierze. Obie te nisze w coraz większym stopniu ulegają też wpływowi kultury konsumpcyjnej – to już nie jest polityka, choćby marginalna, to zwykła podróż przez centrum handlowe. Skrajna lewica ma skrajnie lewicowe gadżety i kult swoich idoli, skrajna prawica zaś gadżety skrajnie prawicowe i takich też idoli, a z niszowego biznesu obsługującego ten popyt żyją zazwyczaj ci nieliczni starzy wyjadacze, którzy „nie wyrosli z ideałów młodości”.

Nie ma żadnego zagrożenia recydywą komunizmu lub faszyzmu. Zapewne nawet większość „bojowników” z tymi ponurymi cieniami przeszłości robi to z wyrachowania. Młodzi posłowie PiS czy działacze LPR próbują przelicytować starszych kolegów w swym werbalnym antykomunizmie, bo tylko w ten sposób mogą wskoczyć na wyższy stopień w partyjnej hierarchii lub medialnej popularności. Zawodowi antyfaszyści z „Nigdy Więcej” muszą natomiast straszyć czającym się jakoby dokoła faszyzmem, bo na „zwalczanie” tychże zjawisk otrzymują dotacje, a niczego innego robić wszak nie potrafią.

Dziś nie istnieje potrzeba zakazu propagowania faszyzmu i komunizmu, gdyż obie te ideologie wylądowały na śmietniku historii. Zresztą w pełni zasłużenie, gdyż w praktyce niczego dobrego nie oferowały społeczeństwu nawet w porównaniu z niedoskonałymi, standardowymi odmianami liberalnej demokracji

i kapitalizmu. Są na szczęście martwe i nic ich nie wskrzesi, żaden Marks i żaden Schmitt.

Natomiast problemem jest to, że współczesna technokratyczna oligarchia, mimo operowania antyfaszystowskimi i antykomunistycznymi hasłami, upodabnia się – choć oczywiście przy ogromnej różnicy w sferze metod i światopoglądu – właśnie do tego kluczowego aspektu skompromitowanych totalitaryzmów, jakim jest odebranie społeczeństwu podmiotowości, ograniczanie możliwości decydowania o sobie i zanik faktycznej demokracji. I analogicznie – dziś ideologiami radykalnymi nie są faszyzm i komunizm, chyba że w sensie radykalnej jałowości odpowiedzi, jakich udzielają na pytania dotyczące współczesnych wyzwań. Radykalna jest dziś natomiast walka o samorządność, o odzyskanie kontroli nad własnym życiem, o to, abyśmy na powrót stali się obywatelami. Ale to już temat na zupełnie inną opowieść.

Autor: Remigiusz Okraska

Źródło: [Obywatel](#)